

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

Będę Cię
szukał
aż Cię
pokocham

To nie miało prawa się stać.
Ale się stało.
I teraz trzeba powstrzymać
koniec świata.

Ta miłość zabija

Będę 2
Cię
szukał

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

Będę Cię
szukał
aż Cię
pokocham



[Kup książkę](#)

Przed rozpoczęciem lektury
sprawdź swój grafik w kalendarzu
i/lub uzyskaj zgodę rodziny,
gdyż każda książka
Krzysztofa Koziołka
jest potencjalnym złodziejem
Twojego czasu.



Redakcja i korekta
Jolanta Paczkowska

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
www.kamilpietruczynik.pl

Zdjęcie na okładce
Andrew Lozoyi
Obraz licencjonowany przez
[Depositphotos.com/Drukarnia Chroma](https://depositphotos.com/Drukarnia+Chroma)

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2019
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2019

www.manufakturekstw.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolek.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2019

ISBN 978-83-949557-7-9

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

[Kup książkę](#)

Dedykuję
Mamie

Drogie Bloggerki!
Drodzy Bloggerzy!
Drogie Czytelniczki!
Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

Prolog

Natan Kostrzewa stanął w rozkroku, próbując zniwelować kołysanie pociągu tak mocno, jak tylko się dało. Wyciągnął maksymalnie prawą rękę uzbrojoną w smartfon, wyprostował środkowy palec lewej dłoni, po czym zrobił jej zdjęcie, uśmiechając się przy tym pod nosem.

Stał samotnie na końcu korytarza ostatniego wagonu, obmyślając zemstę na dwóch kolegach z klasy. Kwadrans wcześniej ponizyli go na oczach Darii Witebskiej, w której od roku podkochiwał się, niestety bez wzajemności. Co prawda nic konkretnego jeszcze w ramach rewanżu nie wymyślił, ale *fuck you* na dobry początek nadawało się wręcz idealnie.

Kliknął w ekran telefonu, zaklął pod nosem, widząc komunikat o niewysłaniu wiadomości. Odkąd wjechali w Bory Dolnośląskie, aparat co chwilę tracił zasięg, przez co praktycznie wszyscy w klasie zaczęli się denerwować, nie mogąc ze sobą czatować na Facebooku. Może przez to tych dwóch debili zrobiło mi kawał – zżymał się w myślach.

Spróbował ponownie wysłać fotkę, bezskutecznie. Już miał odłożyć smartfon do kieszeni, gdy za oknem dostrzegł wielki burzowy obłok, niezwykle ciemny, tak bardzo, że granatowy kolor praktycznie przechodził w czerni. Kostrzewa dałby sobie głowę uciąć, że jeszcze chwilę wcześniej niebo było bezchmurne. Nagle obłok zaczął się w dziwny sposób rozszerzać. Bez namysłu

opuścił okno, wychylił przez nie ręce i zaczął nagrywać niecodzienny spektakl.

Kiedy z nieba spadły pierwsze krople deszczu, uśmiechnął się z satysfakcją pod nosem. Jego smartfon był z górnej półki – można go było wstawić pod silny strumień wody z kranu – ci dwaj debile o takim sprzęcie mogli tylko pomarzyć.

Pociąg wyjechał z lasu i widok drzew zastąpiło pole kukurydzy, zaraz potem skład zaczął wjeżdżać w ostry i długi zakręt. Kostrzewa najpierw zobaczył prowadzącą go lokomotywę, a chwilę później pierwszy wagon, w oknach którego widać było wychylające się postaci. Nie musiał wyostrzać wzroku, nawet z tej odległości rozpoznał wściekle żółte koszulki bliźniaków, jak powszechnie nazywano jego durnych kolegów z klasy.

W pierwszej chwili pomyślał, żeby im pomachać, tak szybko jednak, jak wpadł na ten pomysł, tak go porzucił. Nie chodziło bynajmniej o niechęć do swoich szkolnych prześladowców, lecz o drugą lokomotywę, która wyłoniła się w oddali zza ściany deszczu, ciągnąc za sobą sznur cystern. Minęło kilka sekund, zanim mózg chłopaka poradził sobie z nową informacją i zestawiał ją z inną, mianowicie taką, że linia kolejowa, którą podróżowali, była jednotorowa.

Kiedy to sobie uświadomił, poczuł silne parcie na pęcherz i musiał mocno ścisnąć nogi, aby nie popuścić. Sekundę później jego wagonem gwałtownie szarpnęło, a z zewnątrz doleciał przeraźliwy pisk hamulców.

Ciało Kostrzewy tak bardzo przybrało na wadze, że jedną ręką nie dał rady przytrzymać się okna. Runął na podłogę, upuszczając przy tym smartfon.

Maszynista pociągu towarowego Stefan Stolarczyk stracił cenne dwie sekundy, przecierając szybę, jakby chciał sprawić, że rozciągający się za nią widok, mrożący krew w żyłach, zniknie. Kolejną zmarnował, próbując przywołać sobie obraz sygnału podawanego przez semafor na bocznicy, z której wyruszył niespełna kwadrans wcześniej. Typowo ludzkie zachowanie sprawiło, że hamowanie awaryjne uruchomił poniewczasie. Zresztą, nawet gdyby zareagował dokładnie w tym w momencie, jak tylko dostrzegł lokomotywę pociągu osobowego wyłaniającą się z zakrętu, niewiele by to zmieniło.

Lepszym refleksem popisał się prowadzący drugi skład, ale i jego zdecydowanie nie mogło uchronić obu pociągów od zderzenia. Droga hamowania przy ich prędkości i wadze – szczególnie lokomotywy towarowej ciągnącej za sobą czterdzieści cystern z ropą naftową – była kilkadziesiąt razy dłuższa niż dzielący je dystans.

Sekundę przed uderzeniem Kostrzewie udało się złapać smartfon i wsunąć do kieszeni. Zaraz potem wyrzuciło go w powietrze. Zanim z powrotem wylądował na podłodze korytarza, uderzył bokiem w drzwi jednego z przedziałów, boleśnie tłukąc udo o wystający uchwyt na przesuwanych drzwiach. Nie zwrócił na to jednak większej uwagi, adrenalina była tak duża, że nie poczułby nawet złamania.

Pisk włączonych hamulców ustąpił przeraźliwemu odgłosowi zgniatanej i rozdzieranej blachy. Chwilę później – Kostrzewa nie był w stanie ocenić, ile dokładnie

– nastąpiła cisza, którą szybko wypełniły okrzyki nawołujących się ludzi zmieszane z jękami rannych.

Chłopak wyrzwał przez wybite okno. Zobaczył wielką stertę wymieszanego ze sobą żelastwa, w którym z trudem dało się odróżnić obie lokomotywy. Zaczął szukać wzrokiem początkowego wagonu, tego, w którym pierwsze przedziały zajmowali koledzy i koleżanki z klasy. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że jego sprasowana większość znajduje się pod wrakiem spalinowozu. Na myśl o tym, co spotkało kumpli ze szkolnych ław, żółć podeszła do gardła, chwilę potem upadł na kolana i wymiotował.

Właśnie wtedy pokiereszowanym wagonem targnął podmuch wybuchu pierwszej cysterny. Moment słabości uratował Kostrzewie życie, jako że miejsce, w którym nie tak dawno znajdowała się jego głowa, przeciął kawałek ostrej blachy.

On jednak nie zdawał sobie z tego nawet sprawy. Pod wpływem adrenaliny przeszedł do działania: nie bez trudu odsunął drzwi najbliższego przedziału, po czym zaczął ratować matkę z trójką poturbowanych dzieci. Kobieta miała połamane obie ręce i nie była w stanie otworzyć okna. Kostrzewa zrobił to za nią.

Pomógł jej wydostać się na zewnątrz, opuścił na ziemię płaczące maluchy i kazał wszystkim uciekać jak najdalej od pociągu. Już miał ruszyć do sąsiedniego przedziału, kiedy doszło do kolejnej eksplozji, zaraz po niej do następnej. Nie namyślając się wiele, chłopak wyskoczył przez okno, chwycił dwójkę najmniejszych dzieciaków pod pachy i zaczął biec za kobietą i jej najstarszą pociechą.

Kiedy przedzierali się polem między ciasno rosnącymi wysokimi łądogami, objani przez dojrzałe kolby, Kostrzewa zaczął odnosić absurdalne wrażenie, że wcale nie uciekają przed potężnymi eksplozjami, tylko małymi mordercami z „Dzieci kukurydzy”.

*

Już pierwsi strażacy, którym udało się dotrzeć na miejsce wypadku, zorientowali się, że nie mają do czynienia ze zwykłymi wybuchami, tylko takimi, które w fachowym języku nazywa się z angielskiego: BLEVE¹. Dochodziło do nich wtedy, gdy powłoka cysterny z łatwopalnym paliwem ciekłym została nagle uszkodzona na dużej powierzchni, przez co gaz znajdujący się w górnej części zbiornika rozpręzał się, gwałtownie obniżając ciśnienie panujące nad poziomem cieczy. Ta z kolei przechodziła w stan wrzenia, ulatujące opary zapalały się, dodatkowo ogrzewając cysternę i zwiększając ciśnienie. Po przekroczeniu jego krytycznego poziomu zbiornik rozrywał się, paliwo płynne zamieniało się w parę i mieszało z powietrzem, zwiększając objętość nawet kilkaset razy i stwarzając śmiertelnie niebezpieczną miksturę. Po zapłonie takiego obłoku następowała eksplozja wyglądem przypominającą wybuch małej bomby atomowej. Także niszczyielskie efekty były podobne: pochłaniała wszystko, co tylko napotkała na swej drodze.

Skala tragedii byłaby znacznie mniejsza, gdyby nie zbieg niekorzystnych okoliczności. Przedostatni wagon pociągu osobowego zatrzymał się na przejeź-

1 (Ang.) Boiling Liquid Expanding Vapour Explosion: wybuch rozszerzających się par wrzącej cieczy.

dzie kolejowym prowadzącym do starej fabryki cegieł znajdującej się nieopodal, blokując tym samym przejazd wozom strażackim. Kolejna przeprawa przez torowisko znajdowała się w odległości ponad dwóch kilometrów. Jakby tego było mało, prowadziła do niego wyboista polna droga, przez co służby ratunkowe straciły kolejnych kilkanaście cennych minut. Jak na ironię losu: w momencie, kiedy oba pociągi się zderzyły, ulewny deszcz ustał, jak ręką odjął.

To wszystko wystarczyło, aby pożar objął połowę cystern, cały skład osobowy oraz stojące obok zabudowania przemysłowe. Początkowo strażacy tymi ostatnimi nie zawracali sobie głowy. Dopiero, kiedy któryś z nich zorientował się, że w dawnej cegielni nadal trwa produkcja i zostali w niej uwięzieni ludzie, część sił przerzucono pod płonące hale.

Dla większości pasażerów pociągu osobowego było już jednak za późno na ratunek. Akcji nie ułatwiały zapadające ciemności, jak też fakt, że mimo wysiłków strażaków, którzy starali się schładzać ocalałe zbiorniki, cały czas istniało realne niebezpieczeństwo ich wybuchu.

Dopiero nad ranem następnego dnia udało się dokonać bilansu ofiar. W zderzeniu pociągów i pożaru, jaki w jego wyniku wybuchł, śmierć poniosło siedemdziesiąt pięć osób, kolejnych osiemnaście uznawano za zaginione. Prawie dwustu pasażerom – w tym Natanowi Kostrzewie – udało się uratować, ale wiele osób zostało rannych, kilkanaście ciężko.

Centrum Treningowe wybudowano w ekspresowym tempie na peryferiach Cottbus, drugiego co do wielkości miasta Brandenburgii, zaraz po Poczdamie. Lokalizacja nie była przypadkowa, kilka kilometrów na północ działała jedna z największych niemieckich elektrowni: Jänschwalde, korzystająca z lokalnych złóż węgla brunatnego. Zakład produkował energię wystarczającą na roczne zużycie dla pięciu milionów osób, dzięki temu Centrum Treningowe miało zapewnioną ciągłość dostaw. Nie do przecenienia był też fakt, że przy takiej skali jego ogromny pobór mocy nie rzucał się w oczy.

Wielki kompleks tworzyło osiem przestronnych hal, potężna serwerownia oraz zaplecze mieszkalno-użytkowe. W tym ostatnim mieściło się kilka apartamentów, jeden z nich zajmowała Ina. Lokal składał się z łazienki, pokoju dziennego, salonu połączonego z aneksem kuchennym i sypialni. Poza łazienką wszystkie pomieszczenia były wyposażone w okna, mimo to dziewczyna zwykła była utrzymywać w nich stan półmroku. Z tego powodu wybrała mieszkanie usytuowane po północnej stronie, nie bacząc na to, że miała do dyspozycji o wiele lepiej doświetloną część wschodnią i zachodnią – południową jako pierwszy zarezerwował sobie Wally.

Także teraz, kiedy leżała na łóżku w sypialni, ta skąpana była w ciemności. Ina niezwykle rzadko korzystała z żyrandoli wyposażonych w mocne żarówki, podobnie jak nieczęsto rozsuwała szczelnie zaciągnięte grube kotary. Mrok rozświeślała zwykle jedynie nocną lampką.

Dziewczyna wbiła wzrok w sufit, wsłuchując się w odgłosy kropel deszczu leniwie uderzających w okno, próbując zmusić się do pójścia do łazienki. Dzisiejszy trening był potwornie wyczerpujący, przede wszystkim za sprawą dodatkowego obciążenia, które dołożono w ostatniej chwili, nie uprzedzając żadnego z trojga biorących w nich udział Mediów. I chociaż Ina nie bała się ciężkiej pracy, to jednak każda zmiana misternie zaplanowanego harmonogramu działała na nią deprymująco.

Jakby tego było mało, właśnie dziś Wally wypachnił się nowymi perfumami, co totalnie rozbiło ją psychicznie. Minusem była reprimenda ze strony operatora systemu – pierwsza od bardzo długiego czasu – plusem dużo większa intensywność zapachu, dzięki czemu przez cały trening czuła, jakby chłopak znajdował się tuż obok niej, na wyciągnięcie ręki, a nie po drugiej stronie hali, w jednej z trzech identycznych kadzi, jakich używali razem z Kesją.

Kesja... Na myśl o dziewczynie Wally’ego poczuła niemiłe ukłucie w okolicy serca. Świat nigdy nie był i nigdy nie będzie sprawiedliwy – westchnęła w myślach. Wiedziała o tym już jako dziecko, w czasie, kiedy razem z przybranymi rodzicami – biologiczna matka wtedy nie żyła, a ojca nigdy nie poznała – co rusz musiała zmieniać miejsce zamieszkania. Wystarczyło, że ktoś dziwnie spojrzał na nią w autobusie czy markecie, a opiekunowie zarządzali ciche pakowanie dobytku i nocną przeprowadzkę tak, aby umknąć ciekawskim spojrzeniom sąsiadów. Bywało, że w nowym mieście zagrzewali miejsca na rok, dużo częściej jednak było

to jedynie kilka miesięcy, a zdarzało się, że tylko tygodni.

Była dzieckiem, nie rozumiała, dlaczego musi zostawiać szkołę, przyjaciółki oraz panie nauczycielki i przenosić się w nieznane, obce miejsce. Pytania, którymi zasypywała rodziców, pozostawały bez odpowiedzi. Wieczorami naciągała więc na siebie kołdrę i godzinami płakała, użalając się nad nieszczęsnym losem, tęskniąc za nawiązanymi przyjaźniami.

Całe życie uciekała, aż do momentu, w którym przyszli oni i jej smutne życie zamienili w koszmar. Wtedy szybko zatęskniła za przeprowadzkami, wówczas wydawały się jej tylko nic nieznaczącymi epizodami. Nawet te nikłe przyjaźnie i krótkie zakochania zaczęły nabierać innego wymiaru.

Miłość... – westchnęła ponownie, wierzchem dłoni ocierając łzy z policzków. Nie ma sprawiedliwości... Jedni mają wszystko, drudzy nic. To, czego niektórym tak bardzo brakuje – i za co oddaliby wszystkie skarby świata – inni mają w nadmiarze, często nie potrafiąc tego nawet docenić. Syty nie zrozumie głodnego, a bogaty biedaka. Nie musiała nawet daleko szukać, wystarczyło spojrzeć na Kesję. Przecież Wally zapatrzony był w nią jak w obrazek, zakochany po uszy, świata poza nią niewidzący. A ona?

Ina chwyciła obiema dłońmi za kapę narzuconą na pościel, zacisnęła je z całych sił. Puściła dopiero wtedy, gdy zdała sobie sprawę, że w materiale zrobiła dziury. Przygryzła wargę, walcząc ze wzbierającą na nowo złością. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Kesja tak często odtrącała zaloty ukochanego. Czyżby krępowała się

tym, że niby przypadkowo ją dotykał, szykując do wejścia do kadzi? Że skradał całusa na stołówce, gdy stali w kolejce, przekomarzając się i rzucając na siebie nitki makaronu?

Gdyby tak podszedł do niej... Musnął jej kark palcem... Szepnął coś miłego do ucha... Nie obrażałaby się, nie strofowała, nie piekła raka i w końcu nie hamowała, tylko rzuciła mu się na szyję, zupełnie nie przejmując się tym, że ktoś jest tego świadkiem!

Kesja tego nie potrafiła. Może dlatego, że nie umiała docenić szczęścia danego jej przez los? Nawet, kiedy zmuszona okolicznościami, zniknęła na rok, Wally cały czas kochał ją nieustannie. I szukał tak długo, aż odnalazł.

Takiego chłopaka mogłaby pozazdrościć jej niejedna dziewczyna w ich wieku. Całkowicie oddany w miłości i szalenie przystojny. I te szerokie bary, umięśnione tak, jak należy, nieprzesadnie, na tyle, żeby – kiedy trzeba – móc wziąć ukochaną na ręce i przenieść przez kałużę, leśną rozpadlinę czy górską przepaść...

Ina uśmiechnęła się sama do siebie, czując ciepło rozlewające się wewnątrz ciała, gdy przypomniała sobie przygotowania do dzisiejszego treningu. Już dawno temu zorientowała się, że męską szatnię można podejrzeć za pomocą niewielkiego kanału wentylacyjnego, który znajduje się w przebieralni zajmowanej przez nią i Kesję. Wystarczyło tylko wspiąć się na krzesło, zdjąć kratkę i wbić spojrzenie w lustro, uważając przy tym na towarzyszkę.

Zaraz po tym, jak dziewczyna przywołała widok Wally'ego wyginającego się i prężącego muskulaturę,

na jej twarzy rozlała się błogość. Trwało to kilkanaście sekund, może pół minuty, było krótkie jak mgnienie oka, ale wystarczyło, by móc przenieść się w krainę marzeń.

Bo ona umiała cieszyć się z najmniejszego drobiazgu, jaki życie dawało jej w prezencie. Nauczyła się tego. Musiała. Nie miała innego wyjścia. Inaczej nie poradziłaby sobie z traumą tych wszystkich straconych lat, kiedy, zamknięta przez Nadzorcę w Lodówce, służyła tylko za armatnie mięso.

Na wspomnienie tamtych czasów wzdrygnęła się nerwowo. Momentalnie przywołała się jednak do porządku, zaczęła głęboko oddychać, odświeżając w pamięci widok idealnie ogolonej klatki piersiowej Wally'ego chwilę potem skrytej pod nową koszulką.

Tej samej, o którą dzisiaj rano, w wejściu na stołówkę, niby przypadkowo się otarła.

Tej samej, która uwodziła nowym zapachem.

Tej samej, którą – gdyby tylko miała okazję – zerwała by z niego, aby móc obsypać pocałunkami jego piękne ciało.

Tej samej, którą ukradła z męskiej szatni.

Rozwarła prawą dłoń, nie bez problemu uwalniając palce ze strzępów materiału. Delikatnie chwyciła za t-shirt, przesunęła go bliżej głowy. Ostrożnie, niemal z nabożną czcią, przyłożyła do twarzy, chłonąc woń liści cedrowych, jaśminu i zielonego jabłka mieszających się z silnym aromatem piżma.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nie wypuszczając go, odłożyła koszulkę na bok – nie chciała zużyć całego bukietu od razu – po czym zamknęła oczy.

Chwilę potem stanęła w drzwiach męskiej szatni, patrząc na dynamiczne ruchy Wally'ego zakładającego koszulkę. Pozwoliła, aby materiał opadł na jego umięśnione ciało, dopiero wtedy podeszła bliżej, stając za nim tak, aby zobaczyć ją w lustrze.

Zbliżyła głowę do jego karku, koniuszkami ust delikatnie dotknęła skóry. Wyczuła, jak zadrżał, w tej samej sekundzie i jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

Położyła swoje dłonie na barczystych ramionach chłopaka, następnie przyłgnęła do jego ciała swoim.

Wtedy się odwrócił.

Zobaczyła, jak głęboko oddycha.

Zbliżył się do niej, przywierając ciałem.

Poczuła jego naprężoną męskość.

Wsunął prawą dłoń pod jej włosy, odsunął niesforny kosmyk za ucho, tuż obok miejsca, w którym skórę zdołała mała blizna, po czym pocałował ją w usta.

W brzuchu poczuła przyjemne ciepło. Jęknęła w ekstazie.

Drugą rękę wsunął pod jej bluzkę.

Kiedy aksamitna skóra jego palców dotknęła jej brzucha, nogi się pod nią ugięły.

Śmiało ruszył w górę.

Przez koronkowy materiał biustonosza wyczuła ciepło jego ciała. Nagle chwyciła Wally'ego za przeguby i zrobiła pół kroku do tyłu, mrucząc przy tym w miłosnym uniesieniu. Chwyciła palcami za koszulkę i jednym gwałtownym pociągnięciem zdarła ją z niego.

– Gdzie lezie?! – Głos policjanta z twarzą ubrudzoną sadzą nie pozostawiał złudzeń, jeśli chodzi o nastrój właściciela. – Ślepy jest?! – Ręką pokazał na taśmę ogradzającą teren dawnej fabryki cegieł. – A może nie umie czytać?!

– Ja to po prostu uwielbiam. – Andrzej Sokół zmarszczył nos po tym, jak doleciała do niego nowa porcja spaleni-
zny. – Komuna upadła prawie trzydzieści lat temu, ale jej
duch wiecznie żywy! – Spojrzał porozumiewawczo na to-
warzyszającą mu piękną kobietę. Od momentu, w którym
wysiedli ze śmigłowca, Sara Bednarz nie odezwała się
słowem, ale i tak widział po niej, jak bardzo wstrząsnęło
nią to, co zobaczyli. Stresu dołożyło też bezproduktywne
oczekiwanie na lotnisku w Londynie. W promieniach
wschodzącego słońca, które właśnie zaczęło nieśmia-
ło wyglądać zza horyzontu, zgliszczta wyglądały jeszcze
bardziej makabrycznie. – Pan zestresowany ciężką pracą
w policji czy może ma focha, bo ktoś mu kazał pilnować
dobytku? – Pokazał głową na zabudowania.

– Powiedziałem: won! – Policjant nie miał zamiaru
wdawać się w dyskusję.

– Won? – Sokół prowokacyjnie zrobił krok w kierunku taśmy.

– Nikomu nie wolno wchodzić! – Funkcjonariusz za-
reagował natychmiast, zastawiając sobą dojście.

– Nam wolno. – Sara Bednarz sięgnęła do kieszeni.

– Jak nikomu, to nikomu... – Na widok kobiety o uro-
dzie modelki policjant nieco złagodniał.

– Nam wolno – powtórzyła, wyjmując legitymację.

– A kim wy jesteście? – Otaksował wzrokiem figurę rozmówczyń.

– Agent Fox Mulder i Dana Scully – wyparował Sokół. Z jednej strony schlebiał mu, że jego partnerka robiła tak wielkie wrażenie na innych mężczyznach, z drugiej jednak w takich sytuacjach nie mógł pozbyć się ukłucia zazdrości.

– Sara Bednarz, Krajowy Instytut Nasiennictwa. – Pokazała legitymację, zmroziwszy Sokoła spojrzeniem.

– A ty już się nie wygłupiaj – poleciła tonem nieznośnym sprzeciwu. – Gdzie są moi ludzie? – skierowała pytanie do strażnika.

– W tamtym namiocie. – Policjant kiwnął głową, nie odrywając przy tym oczu od bluzki ciasno opinającej kształtne piersi. – Długo jeszcze będę musiał pilnować tego burdelu?

– Burdelu? – Wbiła w niego spojrzenie.

– Tej rudery – poprawił się natychmiast. – Całą noc tutaj waruję... – tłumaczył się jak strofowany uczeń. – Podobnie jak pół mojej komendy... Jakby nie było ważniejszych rzeczy do robienia niż pilnowanie kupy złomu – dodał, szukając zrozumienia.

– Jeszcze chwilę. – Nie patrzyła na funkcjonariusza, tylko na wojskową ciężarówkę, która zamajaczyła właśnie między drzewami. Nie zająknęła się przy tym słowem, że to ona – zaraz po tym, jak dowiedziała się o katastrofie kolejowej i pożarze fabryki – nakazała separację zabudowań od osób postronnych, strażaków, a nawet policji. Normalnie zabudowań pilnowała grupa świetnie wyszkolonych najemników – w większości byłych komandosów zadowolonych z ciepłej posad-

ki – teraz jednak potrzebne było wsparcie, chociażby z tego prozaicznego powodu, że wielu pracowników podtruło się dymem.

– Świetnie! – Mundurowy zatarł dłonie.

– Zobacz, co z naszymi – rzuciła Sara Bednarz w stronę Sokoła, nie zwracając uwagi na policjanta. – Ja rozlokuję chłopaków ze Świętoszowa.

– Okay – rzekł Sokół. Nagle zamknął oczy, palcami dłoni zaczął pocierać skronie.

– A tobie co znowu? – niecierpliwiła się.

– Łeb mi pęka – wyjaśnił, krzywiąc się mocno. – Pewnie z niewyspania...

– Przecież spałeś cały lot.

– W takim hałasie? Co to za spanie... – Machnął zrezygnowany ręką. Ruszył do namiotu, cały czas przypatrując się przy tym ukochanej zmierzającej w stronę nadjeżdżającej ciężarówki. Odkąd ponad dwa lata temu ściągnęła go do pracy u siebie, ich związek odżył na nowo, wybuchając ze zdwojoną siłą.

Wojskowy pojazd zahamował, wzbudzając tuman kurzu. Chwilę potem zaczęli z niego wyskakiwać żołnierze. Sara Bednarz podeszła do najwyższego rangą, przywitała się, po czym zaczęła pokazywać miejsca do obstawienia.

Sokół patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Stanowczość była jedną z cech, które tak w niej hołubił, szczególnie w łóżku, aczkolwiek bywały momenty, kiedy irytowała go tym do granic możliwości.

Na wspomnienie miłosnych igraszek spojrzał na tyłek partnerki, wyobrażając sobie, jak zdziera z niego spodnie na pace ciężarówki, w środku pobliskiego lasu.

Właśnie wtedy Sara Bednarz się odwróciła. Widząc, jak Sokół stoi bezczynnie, wymownym ruchem ręki wskazała namiot.

*

Kwadrans później posterunki strażnicze były rozstawione, a Sokół przełożonej i kochance w jednej osobie zdawał już raport o stanie zdrowia pracowników fabryki. Na szczęście nikt nie zginął, jedynie dwie osoby zostały ranne podczas ewakuacji – jedna złamała ręką, druga nogę w kolanie – a kilkanaście innych zatruło się dymem.

Chwilę potem doszło do małego zamieszania, a to za sprawą komendanta miejscowej policji, który nie mógł pogodzić się z zakazem wejścia na teren fabryki swoich ludzi z dochodzeniówki. Na Sarę Bednarz nie działały jednak ani prośby, ani tym bardziej groźby, tak samo jak nie robiła sobie nic z jurysdykcji. To ona była tu szefem i tylko ona miała władzę nad tym, kto może wejść do środka, a kto nie. Co prawda, jak wynikało z relacji pracowników, wyposażenie zakładu uległo zniszczeniu, ale i tak nie wolno jej było pozwolić, aby postronne osoby zobaczyły, co jest w środku. Sprawy nie ułatwiał też fakt, że oficjalnie występowała jako inspektor Krajowego Instytutu Nasiennictwa, podczas gdy tak naprawdę była dyrektorem europejskiego oddziału Międzynarodowej Agencji do spraw Nadprzyrodzonych – International Agency for Supernatural Matters – działającej przy Interpolu. Ci, którzy wiedzieli o jej istnieniu, aczkolwiek było to grono nieliczne, w skrócie nazywali ją Super-Agencją.

Sama fabryka z zewnątrz faktycznie wyglądała tak, jakby miała się zaraz zawalić pod własnym ciężarem.

Było to celowe działanie, element kamuflażu, jaki zastosowano przy tym tajnym projekcie.

– Dwóch naszych zdążyło włączyć awaryjny przekaz danych na serwery centrali, dzięki czemu uratowano wszystkie dane – relacjonował Sokół, kiedy ruszyli do głównego wejścia. – Niestety, prototyp Maszyny uległ kompletnemu zniszczeniu.

– Jedyne plus jest taki, że pismaki dadzą nam spokój. – Sara Bednarz spojrzała na drugą stronę torów, na namiot, w którym sztab kryzysowy powołany przez wojewodę co godzinę organizował konferencje prasowe, z trudem mieszcząc dziennikarzy z całej Europy. W kraju ogłoszono żałobę narodową, flagi opuszczono do połowy masztów, a z całego świata przyjmowano depesze kondolencyjne. Młodzież z zielonogórskiego liceum, z którego klasa maturalna zginęła w katastrofie, objęto opieką psychologiczną, w tym jedynego ocalałego ucznia, Natana Kostrzewę.

– Mają swoje krwawe newsy, to nas nie tkną – zauważył Sokół. – Ale i tak powinnaś tam pójść.

– Po jaką cholerę? – zdziwiła się niepomiernie.

– Któregoś inteligentniejszego żurnalistę może zdziwić obecność wojska przy fabryce kukurydzy – wyjaśnił. – Nawet wzięwszy pod uwagę fakt, że oficjalnie jest to zakład eksperymentalny.

– Oceniasz innych swoją miarą? – Obdarzyła go załotnym spojrzeniem. – Masz rację, trzeba tak będzie zrobić – dodała po chwili. – Ale najpierw zobaczmy, jak wygląda sytuacja wewnątrz.

Ta przedstawiała się gorzej, niż wskazywały na to ich dotychczasowe przypuszczenia. Owszem, pierwsze ra-

porty, jakie spłynęły do nich z centrali, przygotowywały na najgorsze, ale co innego czytać suche opisy, co innego zobaczyć wszystko na własne oczy.

I poczuć, bo równie wielkie wrażenie, jak widok dzieł stopionych maszyn i urządzeń, robił potworny smród plastiku strawionego przez ogień. Mimo że wnętrze fabryki nie przywodziło na myśl nowoczesnego zakładu, jakim było jeszcze niecałą dobę wcześniej, to jednak nadal gołym okiem było widać, że zgromadzony tu sprzęt nie harmonizował z zewnętrznym stanem fabryki. Nawet teraz każdy przypadkowy gap dostrzegłby od razu, iż pozorna wydmuszka skrywała w sobie prawdziwy technologiczny skarb.

– I cały misterny plan w pizdu... – Sokół zacytował jedną z ulubionych kwestii z „Kilerów 2-óch”.

– A czyj to był pomysł, żeby naszą najcenniejszą fabrykę zlokalizować w tej leśnej głuszy? – Sara Bednarz była wyraźnie przybita. Maszyna była oczkiem w jej głowie, podobnie zresztą jak w przypadku większości naukowców oraz techników pracujących nad projektem, i zarazem trampoliną mającą wybić ją na jeszcze wyższe stanowisko.

Sokół udał, że nie dosłyszał. Wbił spojrzenie w stopioną konstrukcję, która wyglądała jak skrzyżowanie budowli obcych z filmów science fiction i barcelońskiego kościoła Sagrada Familia. Mimo bogatej wyobraźni trudno było w tej hybrydzie rozpoznać cudo zaawansowanej techniki, którego stworzenie pochłonęło już blisko miliard euro.

– Niech sięgnę pamięcią do dnia, w którym wybieraliśmy lokalizację... – Sara Bednarz nie zamierzała

odpuścić. – Jeśli się nie mylę, była taka jedna osoba pod niebiosą wychwalająca miejsce na obrzeżu Borów Dolnośląskich, blisko mało ważnej linii kolejowej...

– A ile dzięki tej mało ważnej linii kolejowej zaoszczędziliśmy na transporcie? – Sokół też nie planował poddawać się bez walki. – Stara opuszczona cegielnia idealnie nadawała się do naszych celów...

– Podobnie jak setki innych fabryk w tej części Europy – westchnęła. – I nie ona jedna ma bocznice kolejową prowadzącą do rzadko uczęszczanej trasy...

– A oddalenie od siedzib ludzkich i jednocześnie bliskość jednostki wojskowej? – bronił się dalej. – Mogliśmy działać po cichu, a przy tym mieć na zawołanie całą brygadę pancerną...

– I co nam z tego wszystkiego przyszło? – spytała retorycznie. – Pół roku w plecy, o ile nie więcej. Dobrze wiesz, że nie wszystkie części wyprodukowaliśmy w podwójnej ilości.

– A to już nie moja wina...

– Ale za to wybór tej lokalizacji już tak! – zezłościła się.

Spojrzał na nią uważnie. Zwykle lubił, kiedy się irytowała, ale bywały momenty, gdy przypominała rozjuszonego byka chcącego stratować wszystko i wszystkich na swojej drodze, nawet jeśli był to ktoś tak bliski jak on. Właśnie teraz przyszła chwila, że najchętniej zszedłby jej z pola rażenia. Dzięki temu, że pracowali razem, spędzając ze sobą mnóstwo czasu, jeśli nie w zielonogórskim mieszkaniu, to w pokojach hotelowych całej Europy, łączący ich związek przeżywał prawdziwy re-

nesans. Ale zdarzały się i takie dni – ten niewątpliwie do nich należał – że zapominała o tym, iż są razem i stała się wyłącznie jego szefową. Sokół nie znosił takich momentów, zdając sobie sprawę, jak fatalnie wpływają na jego poczucie męskości. Chcąc jednak być z Sarą, nie miał wyjścia. Mógł się założyć, że gdyby postawił jej ultimatum: albo praca, albo związek, wybrałaby tę pierwszą.

– Daj mi spokój... – Dłonią przejechał po fragmencie obudowy, który jeszcze nie tak dawno krył pod sobą nowatorski układ chłodzenia.

– Gdybyś się tak nie upierał, Maszyna nie zostałaaby zniszczona – zżymała się. – I to na dwa tygodnie przed rozpoczęciem najważniejszego testu! – Zacisnęła pięści. – To twoja wina!

– To nie moja wina – rzekł cicho. – Przecież dobrze wiesz, że poświęciłem temu projektowi tak samo dużo czasu, jak ty – dodał. – To nie moja wina... – powtórzył po chwili.

– Przepraszam – szepnęła. – To rzeczywiście nie twoja wina... To tylko pechowy zbieg okoliczności...

– Może tak, może nie... – rzucił filozoficznie zaraz po tym, jak przez głowę przebiegła bliżej niesprecyzowana myśl.

– Mówisz o czymś konkretnym? – zacięła się Sara Bednarz.

– Wpadek, który niszczy dwuletni projekt na chwilę przed jego ukończeniem musi rodzić pytania. – Próbował odnaleźć koncepcję w pokładach podświadomości, ale bez rezultatu. – Na przykład takie: czy to rzeczywiście był wypadek?

– Już myślałam, że wpadłeś na jakiś poważny trop, a ty jak zwykle dajesz upust swojej podejrzliwości i tendencji do szukania dziury w całym! – nie kryła irytacji.

– Ale...

– Żadne: ale! – strofowała. – Mamy większy problem niż twoje czarnowidztwo.

– To nie żadne czarnowidztwo, tylko rozpatrywanie wszystkich możliwych rozwiązań...

– Przestań! – wrzasnęła.

– O co ci chodzi? – Sokół zmarszczył brwi.

– Do tej pory ci tego nie mówiłam, bo... – wstrzymała głos. – Liczyłam, że karta jeszcze się odwróci.

– Jaka karta?

– Wiesz dobrze, że działalność Super-Agencji nie wszystkim jest w smak. Od momentu, w którym szef centrali odszedł na emeryturę, pozycja naszego oddziału zaczęła słabnąć...

– Nic nowego. Powtarzasz to od roku... – zauważył. – Kto tu komu zarzuca defetyzm?

– Podobno na najbliższej sesji kilku najważniejszych sygnatariuszy porozumienia zgłosi wniosek o likwidację sekcji europejskiej i przeniesienie jej do Rosji.

– Do Rosji?! – Sokół był przerażony. – Co za debil zaproponował taki ruch?

– A jak myślisz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Amerykanie. Administracja nowego prezydenta ma inne priorytety.

– Tak, klepanie lasek po tyłkach... – rzucił kąśliwie. – A co z Maszyną? – zaniepokoił się nagle. – Przejmą ją Rosjanie?!

– Nie – odparła. – Cała linia produkcyjna ma trafić za ocean. Amerykanie podobno szykują już nawet wstępną lokalizację.

– Nie wierzę... – Zerknął na zgłiszcza kryjące coś, czemu poświęcił prawie dwa lata życia. Nawet teraz, gdy Maszyna była już tylko karykaturą samej siebie, nie oddałby jej za żadne skarby świata.

– To nie wszystko – kontynuowała Sara Bednarz załamana. – Plotka głosi, że Jankesi chcą zaangażować do projektu sektor prywatny. – Ruszyła w kierunku drzwi.

– Co? – Miał wrażenie, że się przesłyszał. – Tyle czasu walczyliśmy o to, aby efekty jej działania trafiły do domeny publicznej i służyły całej ludzkości, a nie tylko wybranym... Jeśli wejdzie w to jakaś korporacja, nasz sen pryśnie jak mydlana bańka!

– Wiem – rzekła. – Od kilku tygodni działam na polu dyplomacji z nadzieją, że uda nam się uzyskać na tyle duże poparcie, żebyśmy uciekli spod gilotyny. Ale taka porażka tuż przed uruchomieniem największego wynalazku ludzkości od czasu wymyślenia koła stawia nas na z góry przegranej pozycji.

– Przecież to nie nasza wina – zauważył przytomnie, mrużąc oczy przed słońcem. – To wypadek!

– Ty to wiesz. Ja to wiem – westchnęła głęboko. – Ale to nie ty będziesz podejmować decyzję: likwidować oddział czy nie likwidować. Ja też nie – przygryzła wargę. – Fakt, że zniszczenie Maszyny nie jest naszą winą, nie ma tu żadnego znaczenia.

– A jeżeli jednak nie mamy racji? – Sokół powiedział to, patrząc w dal, na zerwane tory pokryte płataniną żelastwa.

- Nie mamy racji w sensie, że to nie nasza wina?
- Spojrzała na niego niepewnie.
- Bynajmniej – odparł, cały czas wpatrując się we wciąż dymiące pobożowisko. – A jeśli to rzeczywiście nie był wypadek?

Rozdział 3

Marty leżał na więziennej pryczy, ze wzrokiem wbitym w sufit, w ciemną plamę, która – przy odrobinie chęci – kształtem przypominała mu stan Wirginia, z którego pochodził. Zmrużył oczy, próbując odnaleźć miejsce, w którym leżały Appalachy, kiedy do jego uszu dobiegł odgłos kroków Richmonda, jednego z niewielu strażników, którego nie musiał się bać, bo jak na klawisza był całkiem przyzwoitym człowiekiem. Oczywiście w zamian wymagał, aby czasem podzielić się z nim jakąś cenną informacją, dla Marty'ego jednak nie było to problemem, już dawno temu dotarło do niego, że aby przeżyć za kratkami, trzeba chwycić się każdego sposobu. Jedynym warunkiem było przy tym, by na donoszeniu nie dać się złapać.

- Marty, wstawaj. – Richmond otworzył drzwi celi.
- Idziemy.

Więzień usiadł na łóżku. Spuścił nogi, wsunął je w klapki, ruszył w stronę strażnika.

- A ty dokąd? – Funkcjonariusz zagroził sobą wyjście.
- Miałem iść...
- Zabieraj swoje fanty. – Pokazał na szafkę stojącą obok muszli klozetowej.

– Przeszukanie celi? – zdziwił się Marty. Akurat po Richmondzie by się tego nie spodziewał.

– Nie. – Wyszczерzył zęby. – Wychodzisz!

– Wychodzę? – Sens słów jeszcze do niego nie do-
tarł.

– Zbierasz się czy nie? – Dalej bawił się w najlepsze.

Marty'emu nie trzeba było więcej powtarzać. Zgar-
nął kilka fatałaszków, pudełko szachów wystruganych
w więziennej stolarni i dwa plakaty z piersiastymi kró-
liczkami Playboya, po czym ruszył za strażnikiem.

W drodze do wyjścia z bloku C towarzyszyły mu gło-
sne wyzwiska. Jedynie dwóch czy trzech znajomych
wykrzyczało autentyczne życzenia powodzenia, nie był
pewien, w tłumie nie dało się nawet słyszeć własnych
myśli.

– Jeszcze tu wrócisz! – Z ostatniej celi dobiegł dziki
pisk. – Jeszcze tu wrócisz! A wtedy się zabawimy!!!

Marty machinalnie się skulił, ale szybko przywołał
do porządku, zmuszając do wyprostowania i uniesienia
wyżej głowy. Tutaj takich, którzy bali się własnego cie-
nia, nie czekało nic dobrego, nauczył się tego już pierw-
szego dnia pobytu.

A teraz, wreszcie, po prawie dwóch latach, szykował
się do wyjścia na wolność! Nagle potknął się, jakby
przestraszony tym, co miało za chwilę nastąpić. Mimo
że od czasu niespodziewanego widzenia z agentem FBI
tliła się w nim nadzieja na opuszczenie więziennych
murów, to jednak nie pozwolił jej zakiełkować na do-
bre. Bał się, iż uleci jak papierosowy dym, że okaże się
tylko czymś perfidnym zagranie mającym zmusić go
do uległej współpracy.

– Wypiska – rzucił Richmond w kierunku strażnika siedzącego za kontuarem, z twarzą poorly bliznami po przebytej ospie.

Marty poczuł, jak serce zaczyna szybciej bić. Zatem to jednak nie senna mara? Żaden dowcip? Za chwilę naprawdę stąd wyjdzie?!

– Zobacz, czy wszystko się zgadza. – Magazynier postawił na ladzie niewielki karton.

Marty otworzył go, otaksował wzrokiem zawartość – sprawdzając jedynie, czy zdjęcie Iny nadal jest w środku – po czym podpisał podsunęty pod nos dokument. Potem wszedł do przebieralni, więzienny uniform zamienił na prywatne ubranie. Wisiało na nim jak na strachu na wróble, nic dziwnego, skoro schudł prawie osiemnaście kilogramów.

Wyjął fotografię dziewczyny z pudełka, wsunął do kieszeni marynarki, wcześniej delikatnie całując.

Otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i się zawahał. Wciąż jeszcze nie wierzył, że to się dzieje. Podświadomie czekał na moment, w którym któryś ze strażników położy mu rękę na ramieniu i każe zawrócić do celi.

Ale Richmond czegoś takiego by mi nie zrobił – pocieszał się w myślach.

– Ja go zaprowadzę. – Jakby na potwierdzenie ulubionego klawisz rzucił w stronę funkcjonariusza mocującego się z drzwiami prowadzącymi na dziedziniec.

Minuta, jaką zabrało im dojście do bramy była najdłuższą w życiu Marty'ego. Przy każdym kolejnym kroku żołądek ścisnęła żelazna pięść, a on sam oczami wyobraźni widział moment, w którym strażnik kładzie rękę na przycisku zwalniającym blokadę drzwi, następ-

nie – nie naciskając go – zabiera ją z powrotem, każe mu spierdalać, po czym zaczyna śmiać się do rozpuku.

Przez trzy poprzednie noce – odkąd dowiedział się o przedterminowym zwolnieniu – miał dokładnie takie właśnie sny. Tej ostatniej doszła jeszcze jedna scena: kiedy ze spuszczoną głową wraca na blok C i zmierza do celi w akompaniamencie śmiechu innych więźniów wyciągających ręce przez kraty, jakby chcieli go chwycić za włosy, przyciągnąć i zacząć tłuc łbem o metal.

Machinalnie przejechał po głowie. Była łysa jak kolo-no. Po bujnej czuprynie – zwykle niemytej przez długi czas, utrzymanej w nieładzie, posklejanej i przetłuszczonej – nie było śladu, zniknęła zaraz pierwszego dnia po tym, jak tutaj trafił. Więzienne mury nie sprzyjały pielęgnowaniu tak wyszukanej fryzury. Od walorów estetycznych bardziej liczyły się kwestie bezpieczeństwa: gdy nie masz włosów na łbie, nikt nie da rady cię za nie chwycić.

*

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim z tym potwornym, charakterystycznym szczękiem towarzyszącym mu od ich przekroczenia niemal dwa lata temu, wzdrygnął się nerwowo. Potem – wciąż nie dowierzając własnemu szczęściu – obejrzał się za siebie panicznie, jakby spodziewał się, że któryś z klawiszy wyskoczy za nim i każe wracać.

Dopiero, kiedy wszedł do zakurzonego autobusu z za-ledwie kilkoma pasażerami, usiadł w ostatnim rzędzie foteli i odprowadził wzrokiem wysokie ogrodzenie zakończone drutem kolczastym, dotarło do niego, że jest wolny.

Jednak nie potrafił się cieszyć. Zamiast radości, czuł ogromny smutek. Żal za straconymi latami życia. Za tymi wszystkimi miesiącami spędzonymi za kratkami. Za każdym dniem ciągnącym się w nieskończoność.

Od momentu, w którym zawiódł sprzęt mający sterować Mediami, a chwilę później tysiące okien biurowca mieszczącego siedzibę Komisji Europejskiej eksplodowały, zaczął odnosić wrażenie, że jego życie toczy się niczym film oglądany w zwolnionym tempie.

Najpierw było zatrzymanie przez belgijskich antyterrorystów. Potem wielogodzinne przesłuchania trwające przez prawie dwa tygodnie. Później ekstradycja do Stanów Zjednoczonych i szok, kiedy prokurator przedstawił mu zarzuty. To było jednak nic w porównaniu do ogromu zaskoczenia, gdy na spotkaniu z adwokatem ten powiedział wprost, że korporacja Yeyland-Wutani nie zamierza nawet palcem kiwnąć w jego obronie, nie po tym, jak brukselskiej policji powiedział o wszystkim, co wydarzyło się na Farmie w Ruckersville.

Nawet dzisiaj wystarczyło, żeby Marty zamknął oczy i natychmiast mógł przenieść się do sali, w której wówczas rozmawiali, opisać w najdrobniejszym szczególe ubiór prawnika, włącznie z kształtami plam na jego przepoconej koszuli. Potrafił drobiazgowo odtworzyć moment, w którym adwokat informował go o żądaniu prokuratora – ośmiu lat więzienia o zaostrzonym rygorze – i myśli samobójcze, jakie pojawiły się wtedy w głowie.

Nie pomogły żadne tłumaczenia, że wykonywał tylko swoje obowiązki i tak naprawdę dbał o Inę, jak nikt inny. Okazało się, że zarówno Nadzorca, jak i grubas oraz bliź-

niacy odmówili składania zeznań już podczas pierwszego przesłuchania. A potem, kiedy trafili do kraju, pracodawcy – z wdzięczności za lojalność – roztoczyli nad nimi parasol ochronny.

Na tyle skuteczny, że za kratki trafił tylko Marty, pozostali wykpiłi się wyrokami w zawieszeniu i pracami społecznymi. Na myśl o tym, że pod nadzorem kuratora poświęcali kilka godzin w tygodniu na pracę z upośledzonymi dziećmi, podczas gdy on każdego dnia walczył o przetrwanie, jęknął w duchu. Chwilę potem zaczął cicho szlochać.

Minęło kilka minut, zanim udało mu się przywołać do porządku. Wierzchem dłoni otarł łzy ciekące po policzkach, po czym sięgnął do kieszeni marynarki, aby wyjąć zdjęcie Iny. Nie trzymał go przy sobie w celi, bał się, że któryś z więźniów mu je zabierze. Miał je za to w pamięci, każdy szczegół jej nagiego ciała, każdy jego zakamarek, który – kiedy opiekował się nią w Lodówce, jak nazywali główną halę z kadiami – pieścił wzrokiem i dłońmi, gdy byli jeszcze razem.

To Ina przez te wszystkie straszne dni trzymała go przy życiu. Ona i nadzieja, że przyjdzie jeszcze taki czas, iż znów będzie mógł ją zobaczyć, czule dotknąć, musnąć kształtne piersi, szepnąć na ucho, że ją kocha i nigdy nie opuści.

Gdyby tylko mógł, pojechałby teraz do niej. I przeprosił za to wszystko złe, co jej zrobił. Błagałby na kolanach, byle tylko pozwoliła mu przy sobie być.

Zamknął oczy, zaczął ją sobie przypominać. Liczył, że stanie się teraz to, z czym miał do czynienia kilka razy podczas pobytu w więzieniu: Ina wyczuje jego my-

śli, zakradnie się mu do głowy, a on zacznie śnić. Zwykle oddawała mu się bezgranicznie, chociaż raz czy dwa zamiast miłosnego uniesienia Marty'ego spotkały tortury. Domyślał się, że to kara za wszystko to, co jej zrobił, kiedy była uwięziona w Lodówce.

Nieistotne jednak, czy pozwalała mu się z nią kochać, czy też wbijała ostrze noża w oczy, ważne było jedynie to, iż mógł wtedy przy niej być.

*

Tym razem przyszła do niego ubrana jedynie w koronkową bieliznę, uśmiechnięta, pełna radości. Zanim autobus dojechał do końcowej stacji i kierowca wrzasnął na niego, żeby zabierał swoje brudne dupsko, Marty kochał się z nią dwa razy.

Do mieszkania w odrapanej kamienicy miał prawie pięć kilometrów. Szedł pieszo, skorzystanie z taksówki nie wchodziło w grę, pieniędzy otrzymanych przy wyjściu z trudem wystarczyło na bilet. Kiedy tylko uporął się z zamkiem i otworzył drzwi, uderzył go zapach stęchlizny. Najpierw odsłonił kotary i jedyne dwa okna uchylił na oścież. Potem z podłogi przed wejściem zgarznął plik kopert i rzucił je na stół, wzbudzając przy tym obłok kurzu.

Puścił wodę z kranu, odczekał chwilę, aż zmieniła kolor z czerwonego na naturalny, napełnił czajnik i postawił go na gazówce. Czekając, aż się zagotuje, przejrzał korespondencję, w duchu gratulując sobie ustawienia stałych przelewów za czynsz i media, dzięki czemu podczas nieobecności odcięto mu jedynie kablówkę. Wcześniej nie potrafił się bez niej obejść, teraz nie stanowiło to już kłopotu. Więzienie nauczyło go radzić sobie

z problemami różnej natury. Brak dostępu do telewizji i internetu był najmniejszym z nich.

Nagle zza ściany dobiegły do niego odgłosy kłótni. Męski głos – o wiele głośniejszy od drugiego – przypominał nieco wrzaski Nadzorcy, których tyle nasłuchiwał się na Farmie.

Na myśl o niegdysiejszym szefie Marty'emu zrobiło się niedobrze. Zgodnie z tym, co obiecywał prawnik na samym początku sprawy, w zamian za pogrążające kolegów zeznania on sam miał mieć maksymalnie złagodzoną karę. Adwokat wspominał coś o zawiasach, a nawet krótkim areszcie domowym. Rzeczywistość okazała się zgoła odmienna: mimo współpracy z prokuraturą Marty dostał wyrok trzech i pół roku. Jedyny plus był taki, że nie trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze, tylko do nieco łżejszego.

Ale i tak miał wrażenie, że znalazł się w piekle...

Dopiero poniewczasie zorientował się, że przydzielony mu prawnik tak naprawdę reprezentował interesy korporacji, a jego zadaniem było poświęcenie Marty'ego w zamian za oddalenie zarzutów wobec pozostałych. To dlatego jako jedyny wylądował za kratkami, pozostawiony samemu sobie.

Woda jeszcze się nie zagotowała, wstał więc od stołu i poszedł do łazienki. Przetarł lustro, spojrzał na swoje odbicie, po czym zaciśniętą pięścią uderzył w szkło, tłukąc je na niezliczoną ilość kawałków.

Nie miał jeszcze skończonych dwudziestu pięciu lat, a wyglądał na czterdziestolatka!

Wtem z kuchni dobiegł gwizd czajnika. Zaparzył herbatę, rezygnując z dodania cukru – kolejny plus odsiad-

ki – usiadł z parującym kubkiem przy stole. W brzuchu mu burczało, ale wiedział, że w domu nie znajdzie nic do jedzenia: lodówka była pusta i odłączona, a wszystkie żarcie z szafek wyrzucił przed rozpoczęciem kary, nie chcąc, żeby się zepsuło i przyciągnęło szczury.

Nagle poczuł zapach świeżo upieczonej pizzy. W pierwszym momencie uznał, że wyobraźnia płata mu figla, ale gdy wciągnął powietrze raz jeszcze, zyskał pewność, iż się nie myli. Woń pepperoni rozpoznałby zawsze. Co prawda w więzieniu co jakiś czas serwowano pizzę, jednak nijak miała się ona do oryginału.

Przełknął ślinę, złoszcząc się przy tym na bogu ducha winnego sąsiada, który najwyraźniej zamówił danie na wynos. Jeszcze raz odetchnął głęboko, dziwiąc się, że przyjemny zapach wciąż jest tak silnie obecny. Nastawił uszu, czekając na dźwięk otwieranych lub zamykanych drzwi, ale kiedy to nie nastąpiło, zaczął się zastanawiać, co się dzieje.

A jeśli ktoś zapłacił za zamówienie, a dostawca pomylił adresy i zostawił przesyłkę pod jego drzwiami?

Nie zważając na absurdalność takiego toku rozumowania, Marty zerwał się z krzesła – przy okazji rozlewając herbatę – i podszedł do drzwi. Już miał chwycić za klamkę, gdy usłyszał pukanie.

Zamarł. Tego kompletnie się nie spodziewał. Najchętniej sprawdziłby, kto czai się na korytarzu, ale wizjer od niepamiętnych czasów był pobrudzony jakimś paskudztwem, które za nic nie chciało zejść.

Otworzyć czy nie? – Marty się zawahał. Decyzję podjął za niego żołądek, głód okazał się silniejszy od strachu.

Kiedy uchylił drzwi i zobaczył znajomą twarz, zakreśliło mu się w głowie.

– Cześć, Marty. – Mężczyzna stojący na korytarzu trzymał w rękach olbrzymi karton z pizzą. – Jak żyjesz?

Gospodarz mieszkania nie odpowiedział, za to zadygotał, bynajmniej nie z zimna.

– Mogę wejść? – Niespodziewany gość zrobił krok przed siebie.

– Właśnie... Właśnie wychodziłem... – jękał się Marty. – Mam spotkanie... Mam spotkanie z... Z kuratorem...

– Z kuratorem? – Wepchnął się między futrynę a niedawnego więźnia. – O ósmej wieczorem?

– Nie wiedziałem, że jest już tak późno... – Brnął dalej. – Dopiero co przyjechałem... Jestem zmęczony... Chciałbym odpocząć...

– Moje towarzystwo cię męczy? – spojrzał wymownie.

Na widok gromów ciskanych z oczu Marty się poddał. Wiedział, że przegrał, zanim jeszcze rozgrywka zaczęła się na dobre. Nagle przed oczami stanęła mu scena z pogrzebu, kiedy to żegnali jednego z kolegów, informatyka pracującego w Mikrofali – jak nazywali centrum komputerowe – którego zmasakrowane ciało znaleziono na opuszczonej plaży niedługo potem, gdy zaczął przebąkiwać o rzuceniu pracy. Policja przyjęła wersję o wpadnięciu pod śrubę bliżej niezidentyfikowanej łajby lub spotkaniu z rekinem, jednak żaden szeregowy pracownik Farmy nie dawał temu wiary. Wszyscy wiedzieli, że Nadzorca nie wybaczał braku lojalności.

– Zamknij drzwi – polecił mężczyzna, kładąc karton na stole.

Gospodarz wykonał polecenie bez mrugnięcia okiem.

– Więc wyszedłeś, Marty... – Nadzorca otworzył opakowanie, przyjrzał się zawartości, po czym wyjął największą trójkąt.

– Już pan wie? – nie krył zdziwienia.

– Wiem, Marty, wiem... – Włożył pizzę do ust.

– Wiem, bo to ja załatwiłem twoje przedterminowe zwolnienie.

– Pan? – Na twarzy Marty'ego malowało się bezgraniczne zdumienie. – Przecież... – przerwał w pół zdania, przypominając sobie zdjęcia skatowanej twarzy owego informatyka.

– Przecież zdradziłeś mnie, składając obciążające zeznania przed prokuratorem? – Nawet nie patrzył na rozmówcę, zajęty wybieraniem kolejnego kawałka. – Dziwisz się, że o tym też wiem?

– Ja... – Poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Z bezsilności zacisnął pięści.

– Co było, to było, Marty. – Odgryzł następny kęs.

– Pyszna! – ocenił, mlaskając wymownie. – Nie spróbujesz?

– Dopiero jadłem. – Był potwornie głodny, ale duma nie pozwalała przyjąć poczęstunku z rąk znieprawionego człowieka.

– Nie kłam. – Oblizał palce. – Wróciłeś do mieszkania pół godziny temu, nie masz tu nic do jedzenia, a po drodze z dworca autobusowego nie wchodziłeś do żadnego sklepu. A nawet, jakbyś wszedł, to i tak nie miałbyś za co zrobić zakupów. Może się mylę?

Marty nic nie odpowiedział.

– To żryj. – Nadzorca sięgnął po nowy trójkąt.
– Bo wystygnie. A nie ma nic gorszego niż zimna piz-
za! – zaśmiał się.

Gospodarz rzucił się na jedzenie, pakując od razu do ust cały kawałek. Potem sięgnął po kolejny i następ-
ny, jadł łapczywie, popijając herbatą.

W tym czasie Nadzorca bawił się kopertami leżący-
mi na stole, co którejś przyglądając się uważnie. Potem
spojrzał na gospodarza, wbił w niego wzrok i zaczął
mówić:

– Stałej roboty nie masz i na razie nie znajdziesz, nie
z takimi papierami. Kurator też gównu ci załatwi, bo ge-
neralnie kuratorzy mają w dupie to, czy ich podopieczni
pracują czy nie. – Paznokciem prawego kciuka zaczął
dłubać między górnymi jedynekami. – A już ten twój
to podobno wielki skurwysyn. – Nie dodał, że sam go
wybrał.

Marty przestał jeść.

– Tymczasem rachunki płacić trzeba – kontynuował
Nadzorca. – Żreć za coś też. Ta kasa, która została ci
na koncie, na długo nie wystarczy.

Dokładnie na miesiąc i jeden tydzień – szepnął Marty
w myślach. Reszta nie najmniejszych przecież oszczęd-
ności poszła na adwokata, który tak go potem załatwił.

– Mówiąc krótko: potrzebujesz pracy. – Mężczyzna
beknął głośno. – Prawda?

Były już więzień skinął w milczeniu głową.

– Świetnie! – Nadzorca uśmiechnął się szeroko.
– Tak się składa, Marty, że mam dla ciebie pewną pro-
pozycję.

Sara Bednarz zrobiła tak, jak proponował Sokół: na-
prędce zorganizowała krótką konferencję prasową, sro-
dze się rozczarowując, bowiem już po minucie pierwsi
dziennikarze zaczęli zamykać swoje kajety, a jeden ope-
rator kamery – najwyraźniej nie bawiąc się w konwe-
nanse – zdjął sprzęt ze statywu i zniknął w wyjściu.

Pytań z sali nie było wcale, tak więc po krótkim mo-
nologu zakończyła spotkanie.

– To twoja вина – burknęła w stronę partnera, gdy tyl-
ko namiot opustoszał.

– Niby co? – Sokół autentycznie nie rozumiał, o co jej
chodzi.

– Nagadałam się, jak głupia, a oni mieli to w dupie
– rzuciła ze złością.

– Powinnaś się cieszyć! – zauważył. – Pierwszorząd-
nie zanudziłaś ich tymi kilkoma szczegółami o wyma-
ganiach glebowych. Po takim przygotowaniu nie spoj-
rzą na naszą fabrykę nawet wtedy, gdyby obok zaczęły
tańczyć baletnice ubrane w rycerskie zbroje.

– Nabijaj się, nabijaj – wycedziła Sara Bednarz.

– Kiedy ja mówię poważnie.

– Tak samo na serio, jak godzinę temu, kiedy rozta-
czałeś przede mną wizję kolejnej spiskowej teorii dzie-
jów? – ciąga słowami jak świeżo naostrzoną brzytwą.

– Czepiasz się!

– W tym to jednak ty jesteś mistrzem. – Ruszyła
do wyjścia. – W jakim stanie jest Robert?

– Czemu pytasz? – Nie krył ciekawości. Robert Sza-
tan był jednym z ich najbardziej zaufanych ludzi, często

dopuszczali go do największych tajemnic. Potrafił odwdziżyć się za to całkowitą lojalnością.

– Jest na chodzie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Trochę nawdychał się dymu, ale jest okay. Dlaczego pytasz? – powtórzył.

– Niech zbierze kilka osób. Na tyle sprytnych, żeby poradzili sobie z opieką nad policjantami.

– Chcesz wpuścić dochodzeniówkę do środka?

– zdziwił się Sokół. – Nagle zmieniłaś zdanie?

– Uświadomiłam sobie, że zarzuty o utrudnianie śledztwa na pewno nie pomogą w rozmowach ostatniej szansy na temat ratowania oddziału – zauważyła kwaśno. – Robert i jego ekipa przypilnują, żeby mundurowi niczego nie wynieśli i za mocno się nie rozglądali.

– A Maszyna i inne urządzenia?

– Niech załatwi folię i wszystko przykryje – komentowała.

– Sama mu to powiedz – rzekł półgębkiem.

– A ty nie możesz?

– Ja chcę się rozejrzeć. – Pokazał na szczątki obu ciągów. – Pogadam też ze strażakami i ludźmi ze sztabu kryzysowego. Może ktoś będzie coś wiedział?

– Niby co? Że przed wypadkiem wylądował tu statek kosmiczny? – nie kryła irytacji.

– Zasięgnę tylko języka. – Nie dał się sprowokować.

– Informacji nigdy za wiele...

– Za to przesady i owszem – warknęła. – Rób, co chcesz, ja w tym czasie poinstruuje Roberta. Masz pół godziny.

*

– Tyle lat jesteśmy razem, ale czasami mnie po prostu zadziwiasz – rzekła Sara Bednarz, gdy tylko wsiedli do terenówki.

– Czym? – zadał pytanie z czystej uprzejmości, spodziewał się bowiem, co będzie dalej.

– Szukaniem dziury w całym – prychnęła lekceważąco.

– Nie szukam dziury w całym. – Sokół machnął ręką Szatanowi, który właśnie rozmawiał z komendantem miejscowej policji.

– To po jaką cholere tracisz czas na próbę udowodnienia tezy, że ta katastrofa kolejowa to nie był wypadek? – Złapała się uchwytu nad oknem, jako że wjechali na wyboistą leśną drogę.

– Na wszelki wypadek. – Zmienił bieg na wyższy i przyśpieszył.

Kiedy samochód wjechał w wielką dziurę, Sara Bednarz podskoczyła. Niewiele brakowało, a uderzyłaby głową w podsufitkę.

– Jesteś złośliwy... – Pogroziła mu palcem.

– Przepraszam. – Zwolnił natychmiast.

– Masz jakiegokolwiek podstawy, żeby coś podejrzewać? – powiedziała to już bez cienia nagany w głosie.

– Przeczucie.

– Uhm...

– Nie śmieję się ze mnie – rzekł twardo. – Sama doskonale wiesz, że moja intuicja kilka razy nam dupy uratowała.

– Raz to ja ratowałam twój tyłek – zauważyła.

– No. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie strzelaniny we wrocławskiej kawiarni Literatka.

– A tak na marginesie, jest bardzo zgrabny. – Uśmiechnęła się figlarnie.

– Kto? – Sokół nie załapał, w czym rzecz.

– Nie: kto, tylko: co. – Zaśmiała się. – Twój tyłek.

– Tak uważasz? – Obdarzył ją czułym spojrzeniem.

– Oczywiście!

Uśmiechnął się, zadowolony. Otaksował wzrokiem jej jędrne piersi skryte pod bluzką, żałując, że dekolt jest tak skromny. Z powodu jego wyjazdu do Australii nie widzieli się prawie dwa tygodnie. Stęsknił się ogromnie!

– Może zrobimy jakiś krótki postój? – zaproponował, wjeżdżając na asfaltową drogę skrytą między drzewami. – Do Cottbus mamy godzinę, kwadrans dłużej nas nie zbawi.

– Chciałabym, ale nie ma na to czasu – odpowiedziała z żalem. – Zamówiłam śmigłowiec do Berlina. Tam mam już zabukowany lot do Londynu. Wieczorem spotykam się z wicedyrektorem.

– Z Brolinem?

Potaknęła nerwowo.

– Jakie jest jego stanowisko w sprawie likwidacji?

– spytał Sokół.

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć – odparła cicho.

– Dobrze byłoby mu zawieźć garść dobrych informacji, ale na to się nie zanosz.

– Co masz na myśli? – Uświadomił sobie, że w czasie jego nieobecności zaplanowano testy nad ITCS. Od momentu, w którym wylądował śmigłowcem, Sara nic o tym nie wspomniała. Do tej pory uznawał, że to z powodu zniszczenia fabryki, teraz jednak dotarło do niego, iż powód mógł być inny.

– Dzieciaki wciąż trenują przesyłanie danych – wyjaśniła. – Na sucho.

– Jeszcze? – Nie krył zawodu.

– Jeszcze – cmoknęła z dezaprobatą.

– Zgodnie z harmonogramem mieliśmy przystąpić już do testów.

– Jak mamy wejść w drugą fazę, skoro nie przeszliśmy pierwszej? – złościła się. – Cały czas coś idzie nie tak, bo za każdym razem pali się stacja przekaźnikowa... Jakby któreś z nich emitowało za silne pole energetyczne... Nasi specje od elektroniki podejrzewają, że to wina chłopaka.

– Wally torpedowałby swój sztandarowy projekt?

– Sokół nie mógł w to uwierzyć. – Ma na tym punkcie kompletnego kręcka!

– Przecież nikt mu nie zarzuca, że robi to specjalnie. Ale... – Zrobiła krótką pauzę. – Ostatnio jest jakiś nieswój.

– Co masz na myśli? – zaciekał się.

– Nic konkretnego. – Uśmiechnęła się pod nosem.

Sokół odniósł wrażenie, że Sara Bednarz coś przed nim ukrywa, ale na razie postanowił nie drążyć tematu.

– Centrala dała nam tydzień na dojście do fazy testów – rzekła nagle.

– Tydzień? – wytrzeszczył oczy. – A co potem?

– Mamy przetestować separację.

– Co?! – nie dowierzał. – Powiedz, że to jakiś żart!

– A wyglądam, jakby mi było do śmiechu? – zerknęła na niego.

Spojrzał na nią. Zawsze, kiedy nad czymś intensywnie myślała, marszczyła lekko brwi i mrużyła nieco oczy.

Lubił wtedy przypatrywać się jej w milczeniu i podziwiać piękną twarz.

– Uważaj! – krzyknęła nagle.

Zanim zdążył się odwrócić i zobaczyć sarnę wyłaniającą się zza drzew, instynktownie wcisnął hamulec. Niemal od razu, gdy tylko zadziałał, dotarło do niego, że auto nie zatrzyma się w porę. Puścił zatem pedał i szarpnął kierownicę w lewo. Szybko wyczuł, że wykonał unik zbyt gwałtownie, dlatego od razu skontrolował. Mimo błyskawicznej reakcji terenówka i tak wpadła w poślizg. Był jednak na to przygotowany, zredukował bieg i dodał gazu, odzyskując panowanie nad pojazdem. Przejechawszy kilkadziesiąt metrów, zjechał na pobocze, zatrzymał się i zgasił silnik. Otarł pot z czoła.

– Mało brakowało – rzekła Sara Bednarz, głęboko oddychając.

– No. – Sokół skierował na nią spojrzenie. Wzrok od razu przyciągnęły jej falujące piersi. – Pięknie dziś wyglądasz – rzucił cicho.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. – Położył dłoń na jej kolanie, zaczął ją wolno przesuwając w górę.

– Świetny manewr – szepnęła.

– Tak? – Delikatnie ścisnął ręką udo.

– Miałam na myśli reakcję na drodze – zaśmiała się cicho. – Ale to też mi się podoba... – mruknęła.

– Tak? – Zaczął wędrować dłonią jeszcze wyżej, piesząc na zmianę obie nogi.

– Bardzo... – jęknęła, w duchu złoszcząc się, iż ma na sobie jeansy. – Nabieram ochoty na więcej...

– Teraz? – Chciał ją wziąć tutaj, w samochodzie, w lesie pośród drzew!

– Tak!

– Jesteś pewna? – Wsunął palce pod bluzkę, jednocześnie kęsając ucho.

– Pocałuj mnie w szyję. – Dotknęła palcem niewielkiego zagłębienia w skórze. – O, tutaj.

Odpiął pas, nachylił się niezdarnie, musnął ustami kark.

Nagle obok nich przemknęło jakieś auto. Pęd powietrza zakłótywał samochodem.

– Poszukam jakiegoś bardziej ustronnego miejsca.

– Sokół włączył silnik, ruszył gwałtownie, buksując lewymi kołami piach.

– Byle szybko. – Położyła dłoń na jego kroczu, zaczęła je masować.

Sokół zmusił się do tego, aby spojrzeć w lusterko i sprawdzić, czy z tyłu nikt nie nadjeżdża. Dopiero wtedy skręcił w lewo.

Sara Bednarz cały czas go pieściła. Terenówka podskakiwała na leśnej drodze, jeszcze bardziej potęgując doznania. Kiedy wreszcie zniknęli za małym pagórkiem, Sokół zatrzymał samochód, ściągnął koszulkę.

Palcami drugiej dłoni zaczęła przesuwać po owłosionym torsie.

– Skarbie, mieliśmy długą przerwę – szepnęła, po czym delikatnie ugryzł ją w płatek ucha. – Zdecydowanie za długą. – Musnął go językiem.

– Też tak myślę – mruczała zadowolona. Rozpięła guzik jego spodni, rozsunęła rozporek, wsunęła dłoń w slipy.

Przywarł swoimi ustami do jej, jednocześnie błędził rękoma pod bluzką, sycąc się dotykiem aksamitnej skóry i delikatnego koronkowego stanika. Chwilę potem pozwoliła mu się rozebrać, drżąc przy tym z rozkoszy.

– Całuj mnie... – szepnęła. – Bądź jeszcze bliżej...

Położył dłonie na jej piersiach, zaczął je pieścić delikatnymi ruchami, co chwilę zmieniając tempo. Wiedział, że tak właśnie lubi najbardziej.

Jęknęła raz, drugi, trzeci.

– Chodź do mnie... – Jedną ręką brutalnie zdjęła mu slipy, drugą zaczęła odchyłać oparcie siedzenia.

– Tak... – rzucił w odpowiedzi, mocując się z jej pasem bezpieczeństwa, który właśnie teraz nie chciał się otworzyć. – Cholera! – zaklął, poirytowany złośliwością rzeczy martwych. Czuł rosnące napięcie, miał wrażenie, że za chwilę rozsadzi go od środka. Wreszcie dało się słyszeć charakterystyczne trzaśnięcie i sprzączka puściła.

– Chodź! – Rozsunęła nogi.

Pochylił się nad nią i już po chwili była jego. Spojrzał jej prosto w oczy, po czym zaczął się poruszać, najpierw powoli, miarowo, potem zwiększył tempo, by po chwili znów zwolnić.

Chwyciła go zębami za dolną wargę i ugryzła, jęcząc przy tym głośno.

– Więcej! – krzyknęła. – Chcę więcej!!!

Przyśpieszył.

★

Sokół wciągnął spodnie, zapiał guzik, zaczął mocować się z rozporkiem. Zrezygnował z założenia koszulki, najpierw wytarł nią zaparowaną boczną szybę.

– Włącz nawiew, bo nic nie będziesz widział – powiedziała Sara Bednarz, sięgając po majteczki leżące na kierownicy.

– Seksowne... – rzucił zalotnie.

– Ach, wy, mężczyźni... – westchnęła. – Potraficie myśleć tylko o cipkach.

– Przeszkadza ci to? – spytał zaczepnie. – Chwilę temu jakoś tego nie zauważyłem...

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Nie było ci przyjemnie? – prowokował Sokół dalej.

– Było... – Przymknęła oczy na samo wspomnienie.

– I to chyba niejedną raz...

– Przestań! – Szturchnęła go w ramię, udając oburzoną.

– Poza tym: to nieprawda – rzekł, przybierając poważny ton.

– Niby co takiego? – spojrzała podejrzliwie.

– Że mężczyźni myślą tylko o cipeczkach – odparł.

– Są jeszcze cycuszki i tyłeczki.

– Jeszcze lepiej! – zaśmiała się.

– Przecież kobiety chcą się podobać mężczyznom, prawda? – Pytanie było z gatunku retorycznych.

– A skoro tak, to muszą się liczyć z tym, że będziemy im się bacznie przyglądać.

– Uhm.

– Z ostatnich wyliczeń naukowców wynika, że faceci myślą w ciągu dnia prawie dwadzieścia razy o seksie.

– Niektórzy pewnie więcej – zamyśliła się Sara Bednarz.

– Co masz na myśli?

– Nic. – Próbowwała ukryć speszzenie, ale nie do końca się jej udało. – Lepiej ruszajmy, bo przed startem muszę jeszcze zlecić separację.

– Nie powinnaś tego robić – zaproponował.

– Już o tym rozmawialiśmy – odpowiedziała, krzywiąc się przy tym.

– Właśnie dlatego nie powinnaś godzić się na separację – podkreślił. – Wiesz, że mi się to nie podoba.

– Wiem. – Sara Bednarz sama też nie była do końca przekonana co do słuszności planu, jaki wykuł się w centrali kilka miesięcy wcześniej.

Zgodnie z nim zamierzano wdrożyć specjalne szkolenie pozwalające Mediom na samodzielną pracę nad różnymi projektami. Analitycy oceniali, że w ten sposób uda się zwiększyć ich łączną moc nawet dwukrotnie. Kolejnym argumentem przemawiającym za takim rozwiązaniem było uniezależnienie się Super-Agencji od nieprzewidzianych zdarzeń losowych, czy też zwykłej niedyspozycji któregoś z dzieciaków.

Była też ciemna strona takiej koncepcji, a mianowicie utrata wyłącznika bezpieczeństwa, którym było wzajemne monitorowanie się Mediów. Szczególnie Sokół alarmował, że może się to źle skończyć, a potencjalne korzyści są okupione zbyt dużym ryzykiem.

– Nie podoba mi się to – powtórzył jak echo. Zdawał sobie sprawę, że nie ma takiej władzy, aby wstrzymać realizację projektu, ale bezsilność tylko potęgowała uczucie złości. – Stąpacie po kruchym lodzie.

– Przecież ich połączona moc też nie jest do końca bezpieczna – skontrowała. – Pamiętasz, co się wydarzyło w Chorwacji?

– To działało się wieki temu! – zauważył Sokół, przypominając sobie, co udało mu się ustalić na temat tamtego wydarzenia. Wally, Kesja i Ina byli wtedy jeszcze dziećmi. Rodzice co roku zabierali ich na wakacje w to samo miejsce, do Zadaru. Pewnego razu dzieci zaczęły ze sobą tańczyć, trzymając się za rączki. Chwilę później miasto nawiedziła potężna nawałnica, siejąc spustoszenie. – Wówczas nie panowały nad swoimi zdolnościami. Teraz jest inaczej.

– Nic się nie stanie – próbowała przekonywać.
– Jak zwykle przesadzasz.

– Zrobiliście symulacje komputerowe? – nie dawał za wygraną. – Przeliczyliście wszystko? Sprawdziliście zagrożenia?

– Pierwsza część testów została przeprowadzona. Analitycy uważają, że nie ma żadnego zagrożenia.

– Bo nie widzieli dzieciaków w prawdziwej akcji!
– rzekł ze złością.

– Słuchaj, nie spierajmy się o coś, na co nie mamy wpływu, okay? – zniecierpliwiła się Sara Bednarz.

– Po tym, jak straciliśmy Maszynę, zostały nam tylko dwie rzeczy: ITCS i separacja. Innej karty przetargowej nie mamy.

– Tym bardziej powinniśmy przyrzeć się okolicznościom zniszczenia fabryki – rzekł nagle.

– Nie mam na to czasu. – Potarła dłonią zmęczoną twarz. – Muszę ratować oddział. Zapomniałeś?

– Spotykasz się z kimś jeszcze oprócz Brolina? – Sokół gorączkowo analizował coś w myślach.

– Jeśli tylko będzie taka konieczność.

– Będę ci do tego potrzebny?

– Ty? – zdziwiła się – Przecież działania na szczecblu dyplomacji są ci całkowicie obce.

– Czyli: nie? – upewnił się.

Zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy.

– Świetnie. – Sokół uśmiechnął się, ale bardziej sam do siebie niż do partnerki. – To ty zajmij się spotkaniami na wysokim szczecblu, a ja w tym czasie podrażę w temacie katastrofy kolejowej. Pasuje ci taki układ?

– Może być.

– W takim razie zawiozę cię do Cottbus i wracam.

– Jak chcesz – powiedziała, poprawiając włosy.

– Sara... – spojrzał na nią.

– Tak?

– Obyś miała rację – powiedział cicho, po czym odwrócił się z powrotem. – Obyś miała rację, że to był tylko wypadek.

Rozdział 5

Wally'ego obudził ból w klatce piersiowej. Usiadł na łóżku, otarł pot z czoła. Spojrzał na górną część pizamy i zaklął pod nosem, widząc, że praktycznie zostały z niej tylko strzępy.

To już trzecia koszulka w tym tygodniu – zafrasował się.

Ściągnął ją, spojrzał na spodenki i uśmiechnął się na widok potężnego wzvodu. Pal licha pizamę, to była niewielka cena za takie sny, jakich ostatnio doświadczał. Na wspomnienie tego, co wyczyniali z Kesją, poczuł przyjemne mrowienie na karku.

Tylko szkoda, że nie jest tak w realu – westchnął.

Zamknął oczy, aby przywołać jej ponętne piersi i jędrne pośladki. Tej części jej ciała, która dawała mu największą rozkosz, też nie pominął. Jedynie twarz jego dziewczyny w każdym takim sennym marzeniu była rozmazana, co trochę go dziwiło, aczkolwiek nie przeszkadzało w tym, aby co noc osiągać potężny orgazm.

*

Godzinę później Wally był już po śniadaniu, gotowy do testów. Tym razem – wyjątkowo – w głównej sali treningowej zjawił się jako pierwszy, wyprzedzając obie dziewczyny. Dzięki temu mógł wygodnie rozsiąść się w swoim fotelu i przyglądać krągłościom Kesji, gdy ta była podłączana przez techników do aparatury.

Integral Traffic Control System – w skrócie ITCS – czyli Integralny System Sterowania Ruchem był stosunkowo świeżym projektem Super-Agencji, ale przy tym jednym z najbardziej zaawansowanych. Założenia programu były tyleż pionierskie, co w sumie banalnie proste. Z sieci wszystkich kamer dostępnych w Cottbus – zarówno tych tworzących miejski monitoring, jak też innych, będących własnością instytucji oraz osób prywatnych – spływały dane dotyczące ruchu ulicznego oraz pieszego. W tym nie było nic innowacyjnego, nowatorski za to był udział dużej części kierowców, którzy udostępniali informacje ze swoich nawigacji, konkretnie – cel podróży. Ale prawdziwym hitem było to, co robili Wally, Kesja i Ina. Cała trójka podłączała się do głów wszystkich pozostałych uczestników ruchu drogowego: kierowców samochodów osobowych, ciężarowych i autobusów, pieszych, rowerzystów, a nawet

rolkarzy. Wszystkich, bez wyjątku. Pobierała od nich te same informacje, które dostarczały tradycyjne nawigacje: miejsce docelowe. Następnie zespół superkomputerów – połączonych z Mediami – w czasie rzeczywistym analizował wszystkie dane, przewidywał strumienie podróży z niesamowitą wręcz dokładnością – praktycznie bez promila błędu – i na ich podstawie sterował sygnalizacją świetlną.

Pierwsze testy przyniosły piorunujące efekty: otóż użycie ITCS zmniejszyło korki o ponad połowę, a były i takie momenty, kiedy udawało się zlikwidować je niemal całkowicie! Niestety, system wciąż nie był na tyle stabilny, aby wyjść z nim poza fazę testów. Receptą na to miała być seria symulacji zarządzanych niedawno przez centralę. Zgodnie z opracowanym grafikiem w ciągu tygodnia mieli zamknąć program dla Cottbus, a zaraz potem zająć się Berlinem. Sukces odniesiony w stolicy Niemiec miał być przepustką do sprzedaży licencji na cały świat. A to byłoby osiągnięcie zarówno wizerunkowe, jak i finansowe.

Coś jednak szło nie tak. Z pierwszym wpięciem wszyscy troje poradzili sobie doskonale, ale potem zaczęły pojawiać się problemy. Najpierw stanęło jedno skrzyżowanie, potem drugie, później nastąpił efekt domina i posypała się całość, a miasto stanęło sparaliżowane.

– Wally, znowu straciłeś koncentrację. – W głosie technika dało się wyczuć rezygnację. – Musisz mieć czystą głowę!

– Jasne – rzucił chłopak na odczepnego. Jak miał pracować nad tak skomplikowanymi rzeczami, jeśli od razu

po zamknięciu oczu pojawiały się piersi jego dziewczyny, to podskakujące miarowo, to miętoszone przez niego dłońmi?!

– A może to wina algorytmu? – Ina włączyła się do rozmowy. – Ostatnio dwa razy musieliście robić poprawki. Raz na zielone strzałki warunkowe i drugi na korytarze życia. Może teraz to też kwestia źle napisanego programu?

– Znając Wally’ego, nie stawiałabym na błąd informatyków. – Kesja zaśmiała się w jawnie szyderczy sposób.

Chłopak spojrzał na nią z wyrzutem. To on tak się podnieca jej seksapilem, a ona publicznie go szkaluje?

– Teraz tego nie rozstrzygniemy. – Technik zerknął na zegarek. – Musimy zrobić przerwę na zrestartowanie programu. Potem i tak nie będzie sensu wracać, zostaną nam tylko dwie godziny... Na dziś macie wolne.

– Super! – Wally zatarł dłonie z radości. – Zrobiłem się głodny jak wilk!

– Typowy facet... – rzuciła Kesja, kręcąc z politowaniem głową. Spojrzała na Inę, jakby szukając poparcia, ale ta uciekła wzrokiem.

– Nie wiem, jak wy, ale ja prosto spod prysznica idę na stołówkę! – Nie czekając na pomoc techników, Wally zaczął ściągać z głowy płataninę kabli.

– Poczekaj, bo zepsujesz! – Kesja była bliska wybuchu. – Jak zwykle jesteś w gorącej wodzie kąpany!

– Przecież już mówiłem: jestem głodny. – Chłopak nawet nie patrzył na swoją dziewczynę. – Może przez to nie mogłem się skoncentrować?

– Więc przyznajesz, że to twoja wina? – Kesja powiedziała to bez cienia sympatii w głosie.

Wally przestał walczyć z przewodami, skierował wzrok na miłość swego serca, potem na Inę i jeszcze raz na swoją dziewczynę.

- Powinieneś skorzystać z pomocy psychologa.
- Kesja powiedziała to zimno, wręcz lodowato.

Chłopak skulił się w sobie. Jedną z niewielu rzeczy, jakie przyprawiały go w Centrum Treningowym o ból głowy, były sesje terapeutyczne. Miał świadomość, iż jego wyjątkowy dar – podobny do tych, które posiadały obie dziewczyny – jest wykorzystywany do dobrych celów, a wypłacane mu z tego powodu wynagrodzenie pozwala odłożyć spore fundusze na planowane usamodzielnienie się, co nie zmieniało faktu, iż czasami czuł się jak kukiełka zależna od widzimisię tego, kto pociąga za sznurki. Zwykle jednak udawało mu się z tym radzić. Inaczej było na spotkaniach z psychologiem, który, zamiast pomagać radzić sobie z tym poczuciem przedmiotowości, jeszcze bardziej je pogłębiał.

Na samą myśl, że znów miałby wyładować na kozetce i pozwolić grzebać sobie w głowie komuś, kto sam potrzebował pomocy specjalisty – o czym wiedział doskonale od pierwszej sesji – robiło mu się niedobrze.

Gwałtownie zerwał resztę kabli, zupełnie nie przejmując się tym, czy któregoś nie uszkodzi, po czym poczłapał do szatni. Z reguły posyłał jeszcze Kesji całusa, tym razem jednak tego nie uczynił.

Wziął szybki prysznic, przebrał się, psiocząc na kolejny podarty podkoszulek, po czym poszedł na stołówkę. Był tak rozkojarzony, że dopiero przy stole zorientował się, że zamiast surówki ze świeżej marchwi wziął podwójną porcję kalafiora, którego nie znosił. Pomyłka

dodatkowo go przybiła. W pierwszej chwili chciał rzuć talerzem o ścianę, ale jakoś się powstrzymał.

Zaczął jeść kotlet schabowy, ale już po kilku kęsach stracił apetyt. Także frytki wyjątkowo tego dnia mu nie smakowały. Paradoksalnie, pochłoniął jedynie kalafiora.

– Tutaj jesteś... – Przy stoliku pojawiła się Kesja.

– A gdzie miałbym być? – spytał, nie siląc się na uprzejmości. – Przecież mówiłem, że jestem głodny.

– Faktycznie, to widać – cmoknęła wymownie, patrząc na zapełniony w połowie talerz. – Jeśli przykładasz się do symulacji tak, jak do zaspokajania wilczego apetytu, to nie ma się co dziwić efektom – cięła słowami.

Wally'ego aż ścisnęło w dołku. Czym sobie zasłużył na takie traktowanie?

– Nic nie powiesz? – pytała Kesja dalej.

– A co mam powiedzieć? – wbił widelec w kawałek kotleta.

– Na przykład: przepraszam!

– Co?

– Twój brak koncentracji niszczy pracę nas wszystkich! – wyjaśniła, siląc się na cierpliwość. – O czym ty myślisz podczas testów?

O twoich cyckach, których nie pozwalasz mi dotknąć w realu! – wrzasnął w myślach. Jak choćby dzisiaj z samego rana, przed treningiem, gdy przyszedłem do ciebie do mieszkania. Próbowiałem się przytulić, ale ty nie chciałaś i mnie odtrąciłaś!

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – Zrobiła groźną minę. – O czym ty myślisz?

– O niczym... – Zaczął się zastanawiać, czy Kesja czasami nie wyczuła, jakie myśli towarzyszą mu ostatnio

całymi dniami. Tak dawno się nie całowali, o pieśczołach czy seksie nie wspominając...

– Jakbyś myślał o niczym, to nie paliłbyś sesji – uważała cierpko.

Wtem Wally poczuł za plecami czyjąś obecność. Obrócił się gwałtownie. W drzwiach zobaczył Inę. Na twarzy miała wymalowany smutek. Bezwiednie zjechał spojrzeniem w dół, na piersi dziewczyny. Potem przeniósł wzrok na biust Kesji. Faktycznie, był jakby troszeczkę większy, ale i walory Iny też z pewnością były niczego sobie.

– Pytałam, o czym myślisz? – powtórzyła gniewnie.

Wally zerknął w kierunku drzwi. Iny już nie było.

– Odpowiesz mi czy nie? – Kesja położyła dłoń na ramieniu swojego chłopaka.

– Najczęściej myślę o tobie. – Dotknął jej ręki swoją.

– O tym, że chciałbym być blisko ciebie...

– Nie mam teraz na to ochoty. – Straciła rękę, odsunęła się o krok. – Idę do siebie trochę odpocząć.

– Rozumiem. – Wyraz jego twarzy wskazywał, że jest przeciwnie.

– A skoro mówię, że idę odpocząć, to znaczy, że chcę być sama – dodała szorstko. – Wyrażam się jasno?

– Bardzo. – Spuścił głowę.

Odwróciła się na pięcie i skierowała do wyjścia.

Wally odczekał, aż zniknęła za drzwiami, po czym ze wszystkich sił uderzył widelcem w największy kawałek kotleta. Efekt był taki, że rozbił talerz na dwie części, a sam sztuciec wbił głęboko w drewniany blat.

Podniósł wzrok, zobaczył, że brunetka przy kości wydająca posiłki patrzy na niego z przerażeniem wyma-

lowanym na twarzy. Spróbował uśmiechnąć się przeprasza­jąco, ale kiepsko mu to wyszło. Sprzątnął bałagan do śmietnika, po czym wyszedł ze stołówki.

Nie kontrolował tego, dokąd idzie. Dopiero przy drzwiach wyjściowych z Centrum Treningowego zorientował się, że przecież planował wrócić do mieszkania.

Patrząc na klamkę, zaczął się wahać. Po dłuższej chwili nacisnął ją, szarpnął drzwiami, otwierając je szeroko. Dostrzegłszy przed sobą Inę, stanął jak wryty.

– Kiepski dzień? – spytała cicho.

– No. – Nie wiedział, co więcej mógłby powiedzieć. Zresztą, nie miał ochoty teraz z nikim rozmawiać.

– Nie masz ochoty z nikim rozmawiać... – Odsunęła się na bok, robiąc mu przejście.

– Jakoś nie... – Nagle poczuł zapach jej perfum. Miał dziwne wrażenie, że są bardzo podobne do tych używanych przez Kesję. A może się mylił?

– Normalna rzecz... – mówiła dalej, uśmiechając się przy tym łagodnie. – Nie martw się, to minie.

Zerknął na nią pytająco.

– Mam na myśli zły nastrój – wyjaśniła Ina szybko.

– Oby – westchnął.

– Co byś powiedział na krótki spacer? – Pokazała dłonią na pobliski las. – Masz ochotę? Bo ja mam.

– W sumie... – Patrzył na jej smukłe palce, dziwiąc się, że wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Spojrzał na nią ukradkiem, udając, że zastanawia się nad złożoną propozycją. Stała bokiem, dzięki czemu piersi wyraźnie odznaczały się swoim kształtem od reszty ciała. Nie miał bladego pojęcia, jaki mogły mieć rozmiar, ale mi-

mowolnie przyrównał je w myślach z cyckami Kesji. Nie był pewien, które są większe, jeśli była jakaś różnica, to musiała być minimalna. – Właściwie to chętnie się przejdę – postanowił nagle.

– Dokąd pójdziemy? – spytała, ruszając przodem.

– Pojęcia nie mam – odpowiedział szczerze. – Może ty wybierz?

– Chodźmy nad wodę – zaproponowała.

– Okay. – Przyłapał się na tym, że wzrok ma wbity w pośladki Iny miarowo poruszające się pod ciasnym materiałem. Na myśl, co się pod nim kryło, aż jęknął w duchu.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała, gdy zobaczył ją pierwszy raz po tylu latach przerwy, po tym, co zrobiono z nią na Farmie. Mało brakowało, a podobny los spotkałby jego. Gdyby nie Sokół i jego upór...

Szybko wrócił pamięcią do Iny, żalosnego widoku, jaki sobą wówczas przedstawiała i ogromnej przemiany, która dokonała się po jej uwolnieniu. Znów zapuściła blond włosy, zaczęła ubierać się gustownie, nie w szary kombinezon pozbawiony krzty seksapilu. Co prawda do tej pory Wally nie zwracał na to uwagi – miał przecież obok siebie Kesję, jeszcze większą piękność – ale teraz dotarło do niego zainteresowanie, jakim Ina cieszyła się wśród męskiej części załogi Centrum Treningowego. A kiedy gdzieś wychodzili we trójkę, obie jego partnerki w projekcie przyciągały uwagę nie tylko młodszych od siebie nastolatków, ale też rówieśników, jak i dużo starszych mężczyzn.

Dziewczyna przyśpieszyła i Wally musiał się skupić na tym, aby dotrzymać jej tempa. Kilka minut szli

w milczeniu, potem zaczęli rozmawiać. Chłopak szybko stwierdził, że znalazł wdzięczną towarzyszkę zarówno w wędrowaniu, jak i konwersacji. Początkowo krępował się odpowiadać na niektóre pytania – zdarzały się bardzo osobiste i intymne – ale szybko się przemógł. Pomogło niewątpliwie to, że towarzyszka spaceru też się przed nim otworzyła, zdradzając parę skrzętnie skrywanych tajemnic.

Do ogromnych stawów rybnych położonych między Cottbus a elektrownią mieli niespełna godzinę marszu. Czas minął Wally'emu błyskawicznie, ani się zorientował, jak byli na miejscu. Kiedy tam dotarli i usiedli na starym powalonym drzewie, patrzył na Inę zupełnie inaczej niż jeszcze nie tak dawno temu. Do tej pory widział w niej towarzyszkę dziecięcych zabaw – a od niespełna dwóch lat partnerkę we wspólnym projekcie Super-Agencji – ale nikogo poza tym.

Teraz pierwszy raz dostrzegł w niej kobietę. Nie taką, jaką była Kesja – momentami wyniosłą, żeby nie powiedzieć: chłodną – tylko ciepłą, otwartą i potrafiącą słuchoać, nie przerywając co chwilę, aby wtrącić swoje trzy grosze. Co prawda nie mogła rywalizować z jego dziewczyną urodą, ale – jeśli dobrze się przyjrzeć – też miała w sobie coś podniecającego. Na dodatek potraktowała go jak mężczyznę, nie nastolatka, którym się już przecież nie czuł i od niedawna nie był!

Siedzieli na pniu, wpatrując się w stado ptaków kołujące nad wodą, nic nie mówiąc. Wally co chwilę zezował, celując wzrokiem w biust i myśląc o tym, jakie skarby musiały kryć się pod stanikiem delikatnie odznaczającym się pod bluzką.

Ciekawe, jak ona całuje? – myśl w jego głowie pojawiła się znikąd, aż się jej nawet przestraszył. Drgnął nerwowo, co sprawiło, że zsunął się trochę z drzewa. Aby poprawić siad, podparł się rękoma.

Właśnie wtedy poczuł muśnięcie jej dłoni, a zaraz potem przyjemny dreszcz przeszył jego ciało od czubka głowy, przez kark, plecy i pośladki, aż do ud, łydek i po samiotki koniec stóp.

– Przepraszam – szepnęła, odwracając się w jego stronę i błyskając białą zębów. – To niechcący.

– Nie masz za co przepraszać. – Wally czuł się zagubiony. Reakcja jego ciała z jednej strony go przestraszyła, z drugiej przyniosła rozkosz, której tak bardzo mu ostatnio brakowało.

– Chyba wbiłeś sobie drzazgę. – Ina dotknęła dłoni chłopaka, po czym wzięła ją w swoje i zaczęła dokładnie oglądać. – To tylko paproch – zaśmiała się.

Wally zawtórował jej niezdarnie, myśląc tylko o tym, czy widać wzwód, który pojawił się niespodziewanie dla niego samego. Może to jednak nie był dobry pomysł z tym spacerem? – analizował gorączkowo w głowie.

– Miło mi się tutaj z tobą siedzi, ale chyba powinniśmy już wracać – rzekła nagle. – Niedługo zacznie się robić ciemno.

W drodze powrotnej na jej prośbę zamienili się miejscami i to Wally siedł jako pierwszy. Co jakiś czas obracał się, aby skontrolować, czy Ina za nim idzie. Ta za każdym razem patrzyła mu prosto w oczy, chociaż miał wrażenie, że gdy tylko spoglądał znów przed siebie, wzrok dziewczyny lądował na jego pośladkach.

Szczerze mówiąc, nie miał nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Skoro ta część jego ciała tak bardzo podobała się Kesji, to nie widział nic złego w tym, aby za jej pomocą wyrzucić też dobre wrażenie na Inie.

Gdybym tylko chciał, byłaby moja – myśl, która się pojawiła, targnęła nim jak błyskawica rozdzierająca niebo. Najpierw za jej sprawą poczuł miłe ciepło, potem jednak zmroziła go zawarta w niej śmiałość.

Niedługo potem t-shirt zaczął go niespodziewanie uwierać. Przez moment Wally miał nawet wrażenie, że koszulka kurczy się na nim, tak bardzo była ściągnięta. Próby poluzowania niewiele dawały, bo za każdym razem dyskomfort wracał.

*

Kiedy dotarli na przedmieścia, poczuł coś w rodzaju ulgi. W bramie wejściowej natknęli się na grupę pracowników wychodzących z Centrum Treningowego. Zatrzymując się w tłumie, dwa razy poczuł, jak Ina ociera się o niego. Robiła to niby przypadkowo, trącana przez zniecierpliwionych kolejkowiczów, ale on rozumiał, że tak naprawdę jej działanie było celowe.

Nie miał nic przeciwko.

Odprowadził ją do apartamentu, w duchu modląc się o to, aby nie natknęli się na Kesję.

– Masz podartą koszulkę – rzuciła Ina, stając pod drzwiami.

– Faktycznie... – Wsunął palec w dziurę, której do tej pory nie zauważył. – Musiałem o coś zahaczyć na spacerze.

– Pewnie tak. – Na myśl o tym, jak było naprawdę, poczuła ciepło rozlewające się w brzuchu. – Powtórzmy to jeszcze kiedyś?

- Słucham? – Wally sprawiał wrażenie nieobecnego.
- Co masz na myśli?

Roześmiała się zalotnie, po czym na sekundę przymknęła powieki.

- Spacer? – pytał chłopak dalej.
- Tak, spacer... – szepnęła, poczuwszy, że między nogami robi się mokra.
- Dobrze. – Wally patrzył prosto w jej błękitne oczy, cały czas będąc kompletnie skołowanym.
- Słodkich snów – rzekła cicho, machając dłonią na pożegnanie.

Stał chwilę, patrząc na zamknięte drzwi i zastanawiając się, co takiego się właśnie między nimi wydarzyło. Potem ruszył wolno do swojego mieszkania, odpowiadając półgębkiem na przywitania mijanych na korytarzu osób.

Kiedy kładł się spać, w jego głowie walczyły dwie myśli. Jedną była obawa, że Kesja dowie się o jego spacerze z Iną i że będzie z tego powodu zazdrosna. Drugą pragnienie, aby jeszcze kiedyś powtórzyć taki wspólny wypad i by...

Uświadomiwszy sobie, że zaczął się zastanawiać, jakby to było całować się z nią, zastygł. Nagle zaczął sobie wyrzucać brak lojalności wobec swojej dziewczyny. Szybko znalazł wytłumaczenie takiego stanu rzeczy, dusząc wyrzuty sumienia w zarodku. Poza tym Kesja nie powinna się niczego domyślić. Od czasu akcji w Brukseli żadne z nich nie próbowało nawet dla żartów wchodzić sobie w głowę. Co prawda czapek blokujących na co dzień nie używali – święty by z nimi nie wytrzymał dwadzieścia cztery godziny na dobę – nie mógł więc mieć pewno-

ści, że tak jest, ale podświadomie czuł, że cała trójka jest wierna obietnicy.

Uspokoiwszy się, zamknął oczy.

Gdy zasypiał, z walczących wcześniej ze sobą obu myśli towarzyszyła mu już tylko jedna.